

11/1652/110

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Helena Siekierska

" Buran "
Wspomnienia z Kazachstanu.

17 września 1939 r. - to dzień tragiczny dla Polski, a szczególnie dla Polaków zamieszkałych wschodnie ziemie II RP.

Dla nas, niemieckich Buczacz, był dniem smutku i żałoby.

Pierwsze dni po wkroczeniu wojsk sowieckich były dla nas straszne.

Silne odgłosy ostrzału artyleryjskiego odbijały się echem od wzgórz buczańskich wywołując wśród nas panikę:

Nasz dom przy ul. Szewczuki 4 znajdował się w dolinie w pobliżu budynku Policji, który w pierwszej kolejności został zajęty przez władze radzieckie.

W październiku usunięto naszą rodzinę z górnych pokoi na parter, aby dekwaterować nam rodzinę NKWD- ukraińskiego pochodzenia.

Było nas wtedy czworo. Ojciec- Edmund, lat 60, matka- Amalia, lat 55, córka- Helena, lat 30 /nauczycielka w Rybniku, spędzająca wakacje z rodziną -zaskoczona wybuchem wojny/, córka Jadwiga, lat 17- uczennica gimnazjum, przed maturą.

Dwóch braci wojskowych /rezerwistów/ - nie oficerów - znalazło się już wtedy za granicą, dwaj pozostali bracia, obaj księża, znajdowali się na swoich placówkach z dala od Buczacza.

Równocześnie z wkroczeniem Armii Czerwonej, zaarrestowano Jana Grabowskiego- naczelnika Urzędu Skarbowego w Buczacz - naszego lekarza, oraz innych przedstawicieli inteligencji miasta Buczacz, których najpierw wywieziono do więzienia w Czortkowie, a potem nie wiadomo co z nimi zrobiono./ Przed nastaniem zimy nadeszła wiadomość od Jasia- prawdopodobnie z ...Kozielska/.

Żaden z wówczas aresztowanych Buczaczan nie odnalazł się. Gdzie i jak zginęli nie wiadomo do dnia dzisiejszego. Bardzo ciężkim dla nas przeżyciem była pierwsza ^{de}portacja rodzin polskich w w lutym 1940 roku.

Nadszedł i dla nas tragiczny dzień 13 kwietnia 1940 r. - deportacja do ZSRR.

W nocy, może o 3 nad ranem ^z kolbami do drzwi zerwano nas wszystkich z łóżek, ^z czterech czy pięciu mundurowych rozkazało nam się ubrać, zabrać najniezbędniejsze rzeczy, które załadowano na przygotowaną furmankę, a potem na stacji kolejowej w Buczaczu umieszczone nas wraz z ok. 50 innymi ludźmi w wagonie bydłowym. Cały ten transport zawierał około 200 osób z Buczacza i okolic.

W czasie pakowania dobytku ojciec nie zdolny był do jakiegokolwiek iniejaływy, matka zaś nakłaniała Jadwigę do ucieczki w czasie pakowania lub załadunku.

Przytomność umysłu matki, jej dalekowzroczna wyobraźnia dyktowała zabrać maksymalną ilość ubrań, które ratowały nas potem na zesłaniu od śmierci i wielokrotnie od głodu.

Wielowagonowy pociąg - ok. 40-50 osób w wagonie - w czasie 2 tygodniowej podróży nie mógł wymieniać żadnych informacji. Trasa wiodła przez Kujbyszew /tu był postój z możliwością wyjścia na miasto -ok. 2-3 godziny- pod kontrolą/, Omsk, Nowosybirsk, gdzie przewieziano dla nas łaźnię i ... odwaszalnię / Tu nastąpiła przesiadka na pociąg do Niewirówki /poł.zachód/, skąd samochodami ciężarowymi dowieziono nas do sowchozu "Krasnyj Kazachstan". Był to ośrodek hodowli świń, okolica pagórowata, bez drzew, s t o p .

Ubogie domostwa Kazachów- to lepianki, ziemianki. Całość domku-lepianki to mała sianka i izba, razem ok. 10 m², małe okienko, klepisko.

Oprócz ziemianek Kazachów były rozrzucone drewniane parterowe domki przeznaczone dla urzędników -Rosjan.

Spoleczeństwo sowchozu było szczerarchizowane, dyrektor sowchozu, "politruk", agronom, "sołtys" i kilku urzędników, felezer. Tzw. Centrala- to główny ośrodek sowchozu, do którego należały 3 posesjki i "świńbaza" /kilka baraków dla świń i opodal kilka domków dla pracowników/.

Przywiezione rodziny z Buczacza ^{wa} dokwaterowane przeważnie do ziemianek zamieszkałych przez Kazachów.

W transporcie z nami znajdowały się 3 rodziny żydowskie, między którymi był młody krawiec nazwiskiem Horn /25-30 lat/, który dobrowolnie dołączył do matki i 2 sióstr.

Było też kilka rodzin ukraińskich, reszta to Polacy.

Wśród Polaków, których wówczas znałam, było dwóch młodych mężczyzn /p. Grzybowski- nauczyciel z żoną i teściową oraz p. Zbigniew, brat kapitanowej Pietrowskiej/.

Nasza rodzina "dzięki" chorobie matki dostała się na kwatery do domku drewnianego, gdzie gospodarzami była rodzina Niemców nadwołżańskich, przesiedlonych tu przez Stalina w 1933 r. Gospodarz był dozercą stajni koni w sowchozie, żona jego była stróżką nosną w swinbazie.

Można było się z nimi porozumieć po niemiecku, bo wtedy nasza znajomość rosyjskiego była bardzo słaba.

Powietrze było suche i w ogólnym rozumieniu tego słowa- zdrowe.

Brak wody natomiast bardzo nam się dawał we znaki.

Maleńki strumyczek przepływający przez centralę w lecie prawie całkowicie wysychał.

Już od 3 maja -pamiętam- 1940 roku zaczęliśmy pracować fizycznie. Ojciec i ja z siostrą Jadwigą otrzymywaliśmy półtora kilograma chleba dziennie, a w przyszłości marną zapłatę pieniężną za wykonywaną pracę.

W lecie kobiety i dziewczęta wyrabiały z gliny cegły, lepily uszczelniając i bieląc wapnem boksy w bazach świń, które przywożone jako małe z dalekich stron zapadały często na chorobę zwaną tam "brucelez".

Często przy tej pracy zarażaliśmy się świerzbem, wapno do krwi wyżerało skórę naszych dłoni.

Od jesieni 1940 r. ojciec stróżował najpierw w centrali w kantarze /biuro/, zimową zaś porą w swinbazie w odległości 3 km od centrali.

Przez pewien czas latem moja siostra paxła wraz z koleżanką /Krystyna Turek/ pasła świnie pilnując stada liczącego 200 szt. na stepie, za bazą.

Bardzo uciążliwą pracą było gotowanie potraw. Aby zakupić niezbędne produkty żywnościowe należało zamienić pewną część przywiezionych ubrań, bo ludność tamtejsza nie chciała sprzedawać niczego za ruble, których i tak nie mieliśmy wystarczająco.

Najcięższą dolę miały rodziny uciekinierów z zachodnich ziem polskich, uciekających przed Niemcami. Ci zwykle nie mieli niczego interesującego krajowców do zamiany.

Z nadejściem zimy w końcu października brakło dla nas już pracy fizycznej, i z wolna topniały ogromne zapasy przywiezionej "europejskiej" odzieży. Przed długą i srogą zimą przestrzegali nas najżyczliwsi tamtejsi mieszkańcy.

Brak wieści pocieszających z Polski przed Bożym Narodzeniem wpływał na nas przygnębiająco. Same święta Bożego Narodzenia upłynęły w ciężkim nastroju. Schodziliśmy się wtedy w różnych domach życząc sobie nawzajem szczęśliwszego Nowego Roku.

Ta pierwsza zima dla nas-zesłańców-nie przygotowanych na tamtejsze warunki klimatyczne była ciężką próbą.

Naszych niektórych ziomeków ratowały przysyłane żywnościowe paczki od rodzin z kraju. Nasza rodzina otrzymała również kilka paczek z mąką, tłuszczem, mydłem, dla ojca tytoniem i książki.

Wyśyłał te paczki brat mój -ksiądz, ze Lwowa.

Dla ojca, jedynego w zimie otrzymującego rację chleba za pracę, stróża, kupiliśmy parę starych, ażurawych walonek.

Gdy było sucho, nogi w grubych obuwiach gwarantowały ciepło, a przynajmniej skutecznie zapobiegały odmrożeniom.

Dojście do pracy w świątynie organizowano w ten sposób z centrali, że prowadzący robotników trzymał linę, do której dołączali idący za nim pracownicy, by bezpiecznie dotrzeć do pracy podczas złej pogody lub śnieżyicy.

Mieszkaliśmy już wtedy w baraku zajmując jedną izbuzzkę opalaną "kiziakiem", którego matka przezornie zakupiła w ilości 900 szt. od starego Kazacha.

Aż nadszedł straszny okres dla nas- mieszkańców centrali, gdy pewnego styczniowego popołudnia 1941 roku zerwała się nagle wichura, zawieja śnieżna, zwana "buran", przed którym ostrzegali nas mieszkańcy sovetozu.

Wtedy właśnie zabłądziła trójka Polaków, co zakończyło się śmiercią dwóch osób.

Młoda Polka, żona policjanta z Buczacza, pani Michnikowa, wynędziała, słabo przyodżiana, mieszkająca ze starą matką i trzema córeczkami w odległości 150 m. od naszego baraku zdobyła tego dnia 1 kg. chleba.

Penieważ nie czuła się na siłach dojść sama, poszła do mieszkania Horna prosząc, aby ją odprowadził do domu.

Porzanny chłop, Horn, narzucił na siebie coś cieplejszego i udał się z Michnikową do jej domu. Wtedy właśnie nasiliła się burza śnieżna - buran - i kręcąc śnieżycą, w ciemnościach, przewracając

ich zepchnął z obranego kierunku i uniemożliwił orientację w terenie. Tym sposobem, pędzeni wichurą i zasypywani śnieżycą miast ku domostwom brnęli w śnieg.

W ciągu dwóch dni pędzeni wiatrem oddalili się od centrali o kilka kilometrów.

W tym czasie władze w centrali nakazały bić w szynę żelazną, na alarm, budząc grozę i strach u mieszkańców.

Dowiedzieliśmy się wtedy, że zginęły dwie osoby i nie wolno nam było opuszczać domostw.

Drugiego dnia błądzący natrafili na stóg siana, gdzie postanowili odpocząć. Posilić się chlebem nie mogli, gdyż Michnikowa kawałkami chleba znaczyła przebytą drogę dla ułatwienia poszukiwań. Zziębniętą kobietę ^{Horn} pozostawił w bezpiecznym stogu, zaś sam udał się w poszukiwaniu traktu. Wolno posuwał się na klęczkach nie widząc nic zupełnie; w promieniu 1 m. widoczności wirowała śnieżycą przewracając go i zmieniając obrany kierunek wielokrotnie.

Gdy znalazł trakt, wyczerpany, doczekał się z trudem do pobliskiego kołchozu, skąd przywieziono go do centrali ku wielkiej radości jego rodziny, trzeciego dnia, gdy ustał buran.

Uruchomiono poszukiwania Michnikowej. Wraz z Hornem odnaleziono ten stóg.

Zamarznęta Michnikową złożono w składzie narzędzi rolniczych, nie była to bowiem ostatnia ofiara tego buranu...

Na terenie swinbazy było zatrudnionych kilka Polek. Jedną z nich, w średnim wieku, przywieziona do sowchozu z mężem i jedyną córką - 11 letnią Wiesią, blondyneczką o delikatnej budowie - nie wróciła podczas buranu po pracy do domu.

Mąż jej, Sechaeki, był wtedy chory, córka więc po odczekaniu postanowiła zanieść matce gorącą zupę do bazy, położonej nie dalej chyba jak 100 m. od domu.

Nie zważając na silny wiatr udało się dziecku w kierunku bazy. Zanieść przy słabej widoczności, właściwie już o zmierzchu, zniosła ją z obranej marszruty i popychała w kierunku śniegu, na wzgórze.

Buran szalał, niósł śniegiem, oddech zatykało, błądzące dziecko przysiadło na wzgórzu...

Matkę z powodu buranu zatrzymaną w swinbazie, ojciec zaś czekał cierpliwie powrotu obu, gdy burza śniegowa ustanie...

Po trzech dniach, gdy buran ustał i matka wróciła bezpiecznie, jasnym się stała tragedia Wiesi.

Znaleziono ją siedzącą w kucki z zamarznętą zupą w rondelku.

Podczas, gdy rozgrywały się tragedie w domach Polaków, inne tragiczne żniwo zbierał buran wśród odwiecznych mieszkańców Kazachstanu, prostych i biednych ludzi, którym nie było wiadomo, że może istnieć inny świat, odmienny niż r a d z i e e k i .

Młoda Kazaczka podczas buranu wyniosła w misce popiół, by wysypać poza lepiankę.

Podmuch przewrócił ją i wyrwał cenne naczynie. Pobiegła więc chwytając uciekające naczynie, aż do utraty orientacji w terenie. Odnaleziono ją zamarznąłą w pobliżu jej ziemianki, ze zmęczenia śpiącą na mrozie...

Wszystkie trzy ofiary buranu złożono w owym baraku, aby urządzić im pogrzeb, gdy tylko puszezą mrozy.

To silne przeżycie być świadkiem i niemal uczestnikiem tych wszystkich wydarzeń, a zim tej podobnych w podobnych warunkach spędziłam z rodziną aż 7.

"Pałacznosz, a nie wrócisz" powtarzali nam wkoło, gdy tęskniliśmy za rodziną i Polską. Przez wieki całe nikt przecież nie wracał.

Ojciec zmarł w Semipałatyńsku w 1945 roku, a my z mamą wróciliśmy w 1946 roku, wiosną, przez Ałma Atę, Kijów i Brześć do Polski.

Helena Siekierska.

ul. Hallera 26

33-300 Nowy Sącz, tel. grzechn.

W-wa Nr 21-45-57

/Anna Socha/

Helena Siekierska

11/1652/110

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Helena Siekierska

" Buran "
Wspomnienia z Kazachstanu.

17 września 1939 r. - to dzień tragiczny dla Polski, a szczególnie dla Polaków zamieszkałych wschodnie ziemie II RP.

Dla nas, mieszkańców Buczacza, był dniem smutku i żałoby.

Pierwsze dni po wkroczeniu wojsk sowieckich były dla nas straszne.

Silne odgłosy ostrzału artyleryjskiego odbijały się echem od wzgórz buczańskich wywołując wśród nas panikę:

Nasz dom przy ul. Szewskiej 4 znajdował się w dolinie w pobliżu budynku Policji, który w pierwszej kolejności został zajęty przez władze radzieckie.

W październiku usunięto naszą rodzinę z górnych pokoi na parter, aby dekwaterować nam rodzinę NKWD- ukraińskiego pochodzenia.

Było nas wtedy czworo. Ojciec- Edmund, lat 60, matka- Amalia, lat 55, córka- Helena, lat 30 /nauczycielka w Rybniku, spędzająca wakacje z rodziną -zaskoczona wybuchem wojny/, córka Jadwiga, lat 17- uczennica gimnazjum, przed maturą.

Dwóch braci wojskowych /rezerwistów/ - nie oficerów - znalazło się już wtedy za granicą, dwaj pozostali bracia, obaj księża, znajdowali się na swoich placówkach z dala od Buczacza.

Równocześnie z wkroczeniem Armii Czerwonej, zaarrestowano Jana Grabowskiego- naczelnika Urzędu Skarbowego w Buczaczu - naszego lekarza, oraz innych przedstawicieli inteligencji miasta Buczacz, których najpierw wywieziono do więzienia w Czortkowie, a potem nie wiadomo co z nimi zrobiono./ Przed nastaniem zimy nadeszła wiadomość od Jasia- prawdopodobnie z ...Kozielska/.

Żaden z wówczas aresztowanych Buczaczan nie odnalazł się. Gdzie i jak zginęli nie wiadomo do dnia dzisiejszego. Bardzo ciężkim dla nas przeżyciem była pierwsza ^{de}portacja rodzin polskich w w lutym 1940 roku.

Nadszedł i dla nas tragiczny dzień 13 kwietnia 1940 r. - deportacja do ZSRR.

W nocy, może o 3 nad ranem ^{walaniem} kolbami do drzwi zerwano nas wszystkich z łóżek, ^z czterech czy pięciu mundurowych rozkazało nam się ubrać, zabrać najniezbędniejsze rzeczy, które załadowano na przygotowaną furmankę, a potem na stacji kolejowej w Buczaczu umieszczone nas wraz z ok. 50 innymi ludźmi w wagonie bydłowym. Cały ten transport zawierał około 200 osób z Buczacza i okolic.

W czasie pakowania dobytku ojciec nie zdolny był do jakiegokolwiek iniejaływy, matka zaś nakłaniała Jadwigę do ucieczki w czasie pakowania lub załadunku.

Przytomność umysłu matki, jej dalekowzroczna wyobraźnia dyktowała zabrać maksymalną ilość ubrań, które ratowały nas potem na zesłaniu od śmierci i wielokrotnie od głodu.

Wielowagonowy pociąg - ok. 40-50 osób w wagonie - w czasie 2 tygodniowej podróży nie mógł wymieniać żadnych informacji. Trasa wiedła przez Kujbyszew /tu był postój z możliwością wyjścia na miasto -ok. 2-3 godziny- pod kontrolą/, Omsk, Nowosybirsk, gdzie przewieziano dla nas łaźnię i ... odwaszalnę / Tu nastąpiła przesiadka na pociąg do Niewirówki /poł.zuchód/, skąd samochodami ciężarowymi dowieziono nas do sowchozu "Krasnyj Kazachstan". Był to ośrodek hodowli świń, okolica pagórowata, bez drzew, s t o p .

Ubogie domostwa Kazachów- to lepianki, ziemianki. Całość domku-lepianki to mała sianka i izba, razem ok. 10 m², małe okienko, klepisko.

Oprócz ziemianek Kazachów były rozrzucone drewniane parterowe domki przeznaczone dla urzędników -Rosjan.

Spoleczeństwo sowchozu było szchierarchizowane, dyrektor sowchozu, "politruk", agronom, "sołtys" i kilku urzędników, felezer. Tzw. Centrala- to główny ośrodek sowchozu, do którego należały 3 posesjki i "świńbaza" /kilka baraków dla świń i opodal kilka domków dla pracowników/.

Przywiezione rodziny z Buczacza ^{wa} dokwaterowane przeważnie do ziemianek zamieszkałych przez Kazachów.

W transporcie z nami znajdowały się 3 rodziny żydowskie, między którymi był młody krawiec nazwiskiem Horn /25-30 lat/, który dobrowolnie dołączył do matki i 2 sióstr.

Było też kilka rodzin ukraińskich, reszta to Polacy.

Wśród Polaków, których wówczas znałam, było dwóch młodych mężczyzn /p. Grzybowski- nauczyciel z żoną i teściową oraz p. Zbigniew, brat kapitanowej Pietrowskiej/.

Nasza rodzina "dzięki" chorobie matki dostała się na kwatery do domku drewnianego, gdzie gospodarzami była rodzina Niemców nadwołżańskich, przesiedlonych tu przez Stalina w 1933 r. Gospodarz był dozercą stajni koni w sowchozie, żona jego była stróżką nosną w swinbazi.

Można było się z nimi porozumieć po niemiecku, bo wtedy nasza znajomość rosyjskiego była bardzo słaba.

Powietrze było suche i w ogólnym rozumieniu tego słowa- zdrowe.

Brak wody natomiast bardzo nam się dawał we znaki.

Maleńki strumyczek przepływający przez centralę w lecie prawie całkowicie wysychał.

Już od 3 maja -pamiętam- 1940 roku zaczęliśmy pracować fizycznie. Ojciec i ja z siostrą Jadwigą otrzymywaliśmy półtora kilograma chleba dziennie, a w przyszłości marną zapłatę pieniężną za wykonywaną pracę.

W lecie kobiety i dziewczęta wyrabiały z gliny cegły, lepily uszczelniając i bieląc wapnem boksy w bazach świń, które przywożone jako małe z dalekich stron zapadały często na chorobę zwaną tam "brucelez".

Często przy tej pracy zarażaliśmy się świerzbem, wapno do krwi wyżerało skórę naszych dłoni.

Od jesieni 1940 r. ojciec stróżował najpierw w centrali w kantarze /biuro/, zimową zaś porą w swinbazi w odległości 3 km od centrali.

Przez pewien czas latem moja siostra paxła wraz z koleżanką /Krystyna Turek/ pasła świnie pilnując stada liczącego 200 szt. na stepie, za bazą.

Bardzo uciążliwą pracą było gotowanie potraw. Aby zakupić niezbędne produkty żywnościowe należało zamienić pewną część przywiezionych ubrań, bo ludność tamtejsza nie chciała sprzedawać niczego za ruble, których i tak nie mieliśmy wystarczająco.

Najcięższą dolę miały rodziny uciekinierów z zachodnich ziem polskich, uciekających przed Niemcami. Ci zwykle nie mieli niczego interesującego krajowców do zamiany.

Z nadejściem zimy w końcu października brakło dla nas już pracy fizycznej, i z wolna topniały ogromne zapasy przywiezionej "europejskiej" odzieży. Przed długą i srogą zimą przestrzegali nas najżyczliwsi tamtejsi mieszkańcy.

Brak wieści pocieszających z Polski przed Bożym Narodzeniem wpływał na nas przygnębiająco. Same święta Bożego Narodzenia upłynęły w ciężkim nastroju. Schodziliśmy się wtedy w różnych domach życząc sobie nawzajem szczęśliwszego Nowego Roku.

Ta pierwsza zima dla nas-zosłańców-nie przygotowanych na tamtejsze warunki klimatyczne była ciężką próbą.

Naszych niektórych ziomeków ratowały przysyłane żywnościowe paczki od rodzin z kraju. Nasza rodzina otrzymała również kilka paczek z mąką, tłuszczem, mydłem, dla ojca tytoniem i książki.

Wyśyłał te paczki brat mój -ksiądz, ze Lwowa.

Dla ojca, jedynego w zimie otrzymującego rację chleba za pracę, stró-ża, kupiliśmy parę starych, ażurawych walonek.

Gdy było sucho, nogi w grubych obuwiach gwarantowały ciepło, a przynajmniej skutecznie zapobiegały odmrożeniom.

Dojście do pracy w świątynie organizowano w ten sposób z centrali, że prowadzący robotników trzymał linę, do której dołączali idący za nim pracownicy, by bezpiecznie dotrzeć do pracy podczas złej pogody lub śnieżyicy.

Mieszkaliśmy już wtedy w baraku zajmując jedną izbuzzkę opalaną "kiziakiem", którego matka przezornie zakupiła w ilości 900 szt. od starego Kazacha.

Aż nadszedł straszny okres dla nas- mieszkańców centrali, gdy pewnego styczniowego popołudnia 1941 roku zerwała się nagle wichura, zawieja śnieżna, zwana "buran", przed którym ostrzegali nas mieszkańcy severozu.

Wtedy właśnie zabłądziła trójka Polaków, co zakończyło się śmiercią dwóch osób.

Młoda Polka, żona policjanta z Buczacza, pani Michnikowa, wynęcała, słabo przyodziana, mieszkająca ze starą matką i trzema córeczkami w odległości 150 m. od naszego baraku zdobyła tego dnia 1 kg. chleba.

Penieważ nie czuła się na siłach dojść sama, poszła do mieszkania Horna prosząc, aby ją odprowadził do domu.

Porzanny chłop, Horn, narzucił na siebie coś cieplejszego i udał się z Michnikową do jej domu. Wtedy właśnie nasiliła się burza śnieżna - buran - i kręcąc śnieżyca, w ciemnościach, przewracając

ich zepchnął z obranego kierunku i uniemożliwił orientację w terenie. Tym sposobem, pędzeni wichurą i zasypywani śnieżycą miast ku domostwom brnęli w śnieg.

W ciągu dwóch dni pędzeni wiatrem oddalili się od centrali o kilka kilometrów.

W tym czasie władze w centrali nakazały bić w szynę żelazną, na alarm, budząc grozę i strach u mieszkańców.

Dowiedzieliśmy się wtedy, że zaginęły dwie osoby i nie wolno nam było opuszczać domostw.

Drugiego dnia błądzący natrafili na stóg siana, gdzie postanowili odpocząć. Posilić się chlebem nie mogli, gdyż Michnikowa kawałkami chleba znaczyła przebytą drogę dla ułatwienia poszukiwań. Zziębniętą kobietę ^{Horn} pozostawił w bezpiecznym stogu, zaś sam udał się w poszukiwaniu traktu. Welno posuwał się na klęczkach nie wiążąc nic zupełnie; w promieniu 1 m. widoczności wirowała śnieżycą przewracając go i zmieniając obrany kierunek wielokrotnie.

Gdy znalazł trakt, wyczerpany, doczekał się z trudem do pobliskiego kołchozu, skąd przywieziono go do centrali ku wielkiej radości jego rodziny, trzeciego dnia, gdy ustał buran.

Uruchomiono poszukiwania Michnikowej. Wraz z Hornem odnaleziono ten stóg.

Zamarzniętą Michnikową złożono w składzie narzędzi rolniczych, nie była to bowiem ostatnia ofiara tego buranu...

Na terenie swinbazy było zatrucionych kilka Polek. Jedną z nich, w średnim wieku, przywieziona do sowchozu z mężem i jedyną córką - 11 letnią Wiesią, blondyneczką o delikatnej budowie - nie wróciła podczas buranu po pracy do domu.

Mąż jej, Sochacki, był wtedy chory, córka więc po odczekaniu postanowiła zanieść matce gorącą zupę do bazy, położonej nie dalej chyba jak 100 m. od domu.

Nie zważając na silny wiatr udało się dziecku w kierunku bazy. Zamieć przy słabej widoczności, właściwie już o zmierzchu, zniosła ją z obranej marszruty i popychała w kierunku stopu, na wzgórze.

Buran szalał, miótki śniegiem, oddech zatykało, błądzące dziecko przysiadło na wzgórzu...

Matkę z powodu buranu zatrzymaną w swinbazie, ojciec zaś czekał cierpliwie powrotu obu, gdy burza śniegowa ustanie...

Po trzech dniach, gdy buran ustał i matka wróciła bezpiecznie, jasnym się stała tragedia Wiesi.

Znaleziono ją siedzącą w kucki z zamarzniętą zupą w rondelku.

Podczas, gdy rozgrywały się tragedie w domach Polaków, inne tragiczne żniwo zbierał buran wśród odwiecznych mieszkańców Kazachstanu, prostych i biednych ludzi, którym nie było wiadomo, że może istnieć inny świat, odmienny niż r a d z i e c k i .

Młoda Kazaszka podczas buranu wyniosła w misce popiół, by wysypać poza lepiankę.

Podmuch przewrócił ją i wyrwał cenne naczynie. Podbiegła więc chwytając uciekające naczynie, aż do utraty orientacji w terenie. Odnaleziono ją zamarznąłą w pobliżu jej ziemianki, ze zmęczenia śpiącą na mrozie...

Wszystkie trzy ofiary buranu złożono w owym baraku, aby urządzić im pogrzeb, gdy tylko puszcza mrozy.

To silne przeżycie być świadkiem i niemal uczestnikiem tych wszystkich wydarzeń, a zim tej podobnych w podobnych warunkach spędziłam z rodziną aż 7.

"Padachniesz, a nie wrócisz" powtarzali nam wkoło, gdy tęskniliśmy za rodziną i Polską. Przez wieki całe nikt przecież nie wracał.

Ojciec zmarł w Semipałatyńsku w 1945 roku, a my z mamą wróciliśmy w 1946 roku, wiosną, przez Ałma Atę, Kijów i Brześć do Polski.

Helena Siekierska.

ul. Hallera 26

33-300 Nowy Sącz, tel. grzechn.

W-wa Nr 21-45-57

/Anna Socha/

Helena Siekierska